

Jak Feniks...

Wbrew pozorom i wbrew rozlegającym się wokół lamentom życie literackie kwitnie.

Gdyby ktoś uważał tę opinię za absurdalną, niech się rozejrzy, nawet nie tyle po księgarniach, ile po stoiskach ulicznych bukwinistów, których w Krakowie pełno. Widzimy na nich coraz to nowe, atrakcyjne pozycje, nie wiem już ilu i jakich obiegów, które pomimo wysokich cen znajdują jednak chętnych nabywców. A że nie wszystkie z nich należą do literatury tzw. „wysokiej”? Mój Boże, trudno wymagać od czytelnika, dość już skolatanego „coraz bardziej otaczającą nas rzeczywistością” — jak mawiał nieodżałowany Kazimierz Rudzki — żeby kiedy wreszcie znajdzie chwilę wytchnienia, był jeszcze zdolny do wznoszenia się na wyżyny ducha.

Ale czekają nas jeszcze literackie rewelacje, które jak dotąd spoczywają w maszynopisach, choć — powierzane mnożącym się wydawnictwom prywatnym, o ileż szybciej produkującym od gigantów państwowych — zapewne już niedługo ukażą się na rynku. Niedawno Jan Józef Szczepański uchylił rąbka tajemnicy, mówiąc w jakimś wywiadzie, że ostatnio czyta niemal wyłącznie nowo powstające maszynopisy, a wśród nich wymienił pamiętniki znakomitej aktorki Zofii Kucówny, która — zdaniem J. J. Szczepańskiego — okazała się równie znakomitą autorką. Oto pierwsza sensacja literacka.

Pragnę wspomnieć o drugiej, niemniej niespodziewanej. Przeczytałem niedawno — również w maszynopisie — książkę Zygmunta Grenia pt. „Jak Feniks...”. Wydawałoby się, że żadna sensacja, Greń wydał już wiele świetnych książek, rzecz jednak w tym, że były to wyłącznie teksty krytyczne poświęcone teatrowi, autor należy bowiem do ścisłej czołówki naszych krytyków teatralnych. Jego najnowszą książką jest natomiast debiutem... powieściowym, w związku z czym można u Grenia powiedzieć, że oto — po latach — stracił jakby powtórną literacką dziewicę. Więc jednak sensacja, i to nie byle jaka!

Wystarczy zdradzić, że akcja tej zdumiewającej książki rozgrywa się przy barze w dobrze znanym krakowianom nocnym lokalu „Feniks” (za czasów jego świetności), lecz równocześnie w Londynie i w Paryżu, przy kieliszku wódki i nad kartami skandalizującego pamiętnika Lorda Wyndham w czytelni British Museum, ale głównie w myślach i uczuciach bohatera. A ów bohater i zarazem narrator snuje oszalamiający monolog, będący równocześnie traktatem filozoficzno-mistycznym, przejmującą relacją o związkach niesamowitego pamiętnika z dziwnym obrazem prerafaelyty Hughesa (w której odnaleźć można elementy powieści gotyckiej), w końcu opowieścią o miłosnym zauroczeniu i wiecznym odradzaniu

się jego form (stąd dwuznaczność tytułu książki). Niewiele ponad 200 stron liczący maszynopis trzyma czytelnika w nieustannym napięciu, a znawcom artystycznego środowiska Krakowa pozwala rozszfrować niektóre występujące w książce postacie, ukazane zresztą z odpowiednią dyskrecją.

W końcu debiut powieściowy Zygmunta Grenia, tak bardzo udany i — czy mam to powiedzieć? — lekko skandalizujący, choć nie dorównuje pod tym względem pamiętnikowi Lorda Oliviera Wyndhama — jest przede wszystkim książką o miłości. Któż by pomyślał, że autor, znany ze swej wstrzeźliwości, poznał tak dokładnie wszystkie jej oblicza i potrafi opowiadać o nich w sposób nowy, głęboki i chwilami pełen autentycznej poezji, czym zresztą narrator czuje się jakby zawstydzony. Niepotrzebnie, bo są to fragmenty szczególnie wzruszające, zwłaszcza, że — o czym jeszcze nie wspominałem — ów monolog (jak się w pewnej chwili orientujemy i pamiętamy o tym już do końca lektury) jest właściwie opowiadaniem przeznaczonym dla słuchającej go, lecz milczącej, ukochanej kobiety.

Dodatkowego wdzięku dodaje tej książce — rozgrywającej się całej w sferze doznań emocjonalnych — dbałość autora o realia, umiejętność dostrzeżenia i odnotowania szczegółu. Ulice Krakowa, czytelnia londyńska, hotelik paryski, nawet uwagi o drobnych przedmiotach przypominają czytelnikowi, że ta miłosna bajka ociera się co pewien czas o przyziemną rzeczywistość. Przyszan, że mnie jako Angliście zaimponowała np. wzmianka o okularach ze znakomitej londyńskiej firmy Homa and Homa, o której ja, stary bywalec metropolii nad Tamizą, dotychczas nie słyszałem.

O ile mi wiadomo, powieścią Grenia zainteresował się już tłumacz zachodniemiecki. A kiedy „Jak Feniks...” ukaże się w kraju? O tym autor jeszcze nie chce mówić, lecz sądzę, że książka tego rodzaju będzie łakomym kąskiem nie tylko dla wydawcy, lecz także dla czytelnika. Znużeni już nieco martyrologią, a nawet wciąż nowymi rewelacjami odsłaniającymi wstydliwe karty naszej historii najbardziej współczesnej, czytelnicy spragnieni są — jak się zdaje — właśnie książek typu „Jak Feniks...”. Przy wysokim poziomie intelektualnym i artystycznym łatwo czytelnym, poszerzających wiedzę o nas samych.

Jestem przekonany, że powstające lub już powstałe a nie publikowane dotąd maszynopisy kryją jeszcze niejedną literacką nowość, godną uwagi, choć może nie aż tak sensacyjną, jak te dwie, o których wyżej. Ale też rzadko się zdarza, żeby aktorka i krytyk teatralny odeszli tak daleko — i z takim powodzeniem — od swych talentów i specjalności, z których znałimy ich dotychczas.